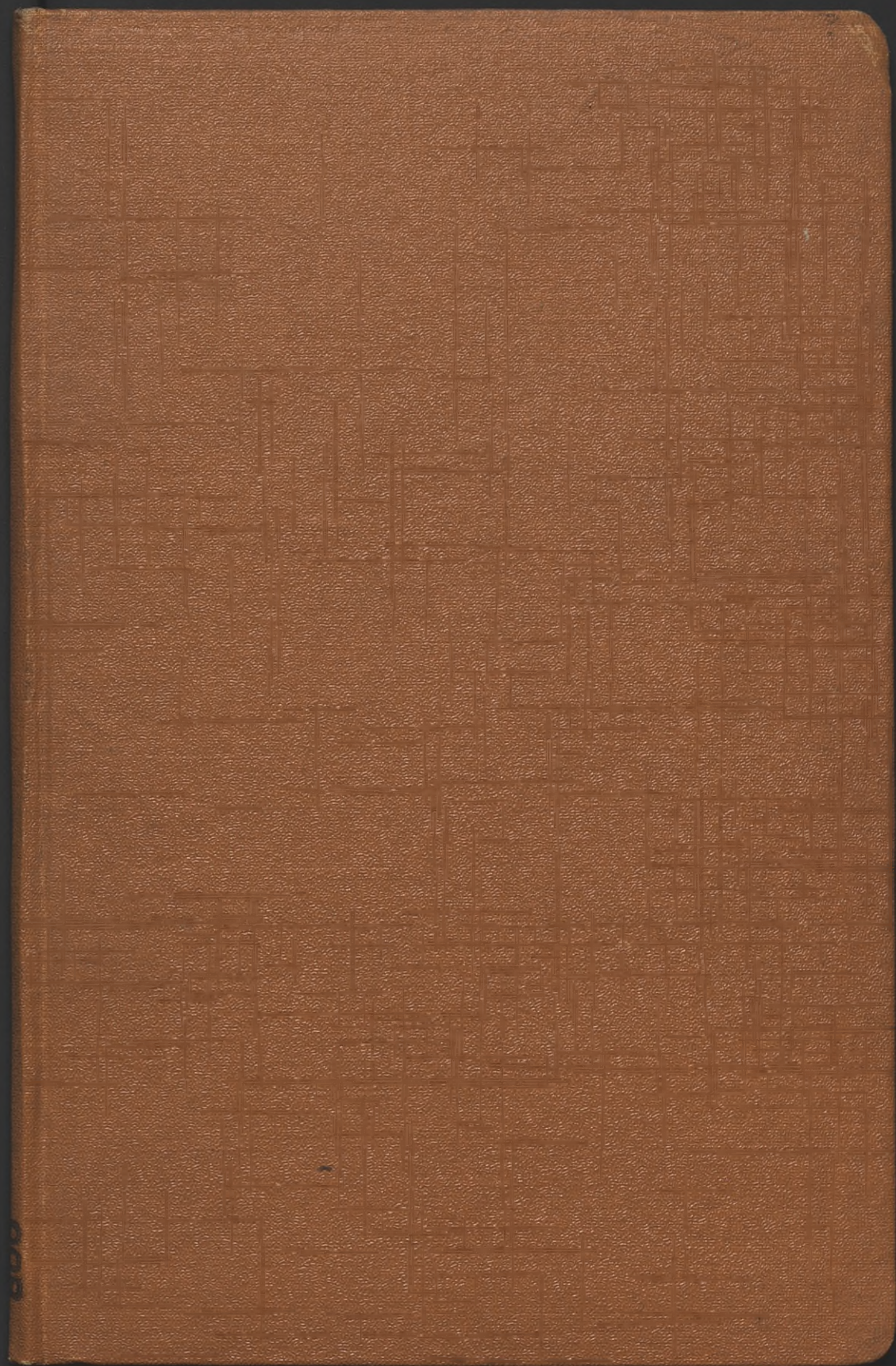
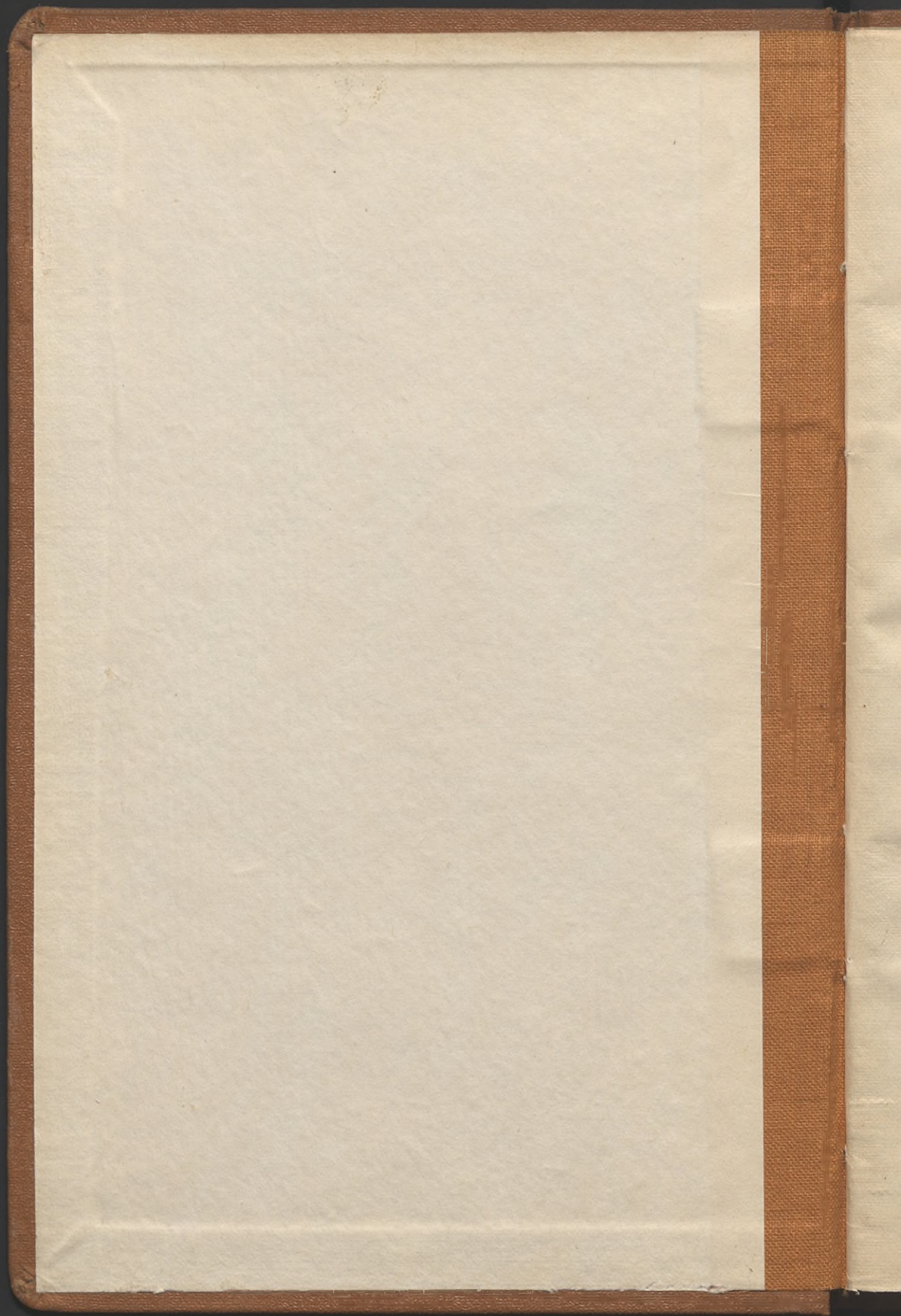
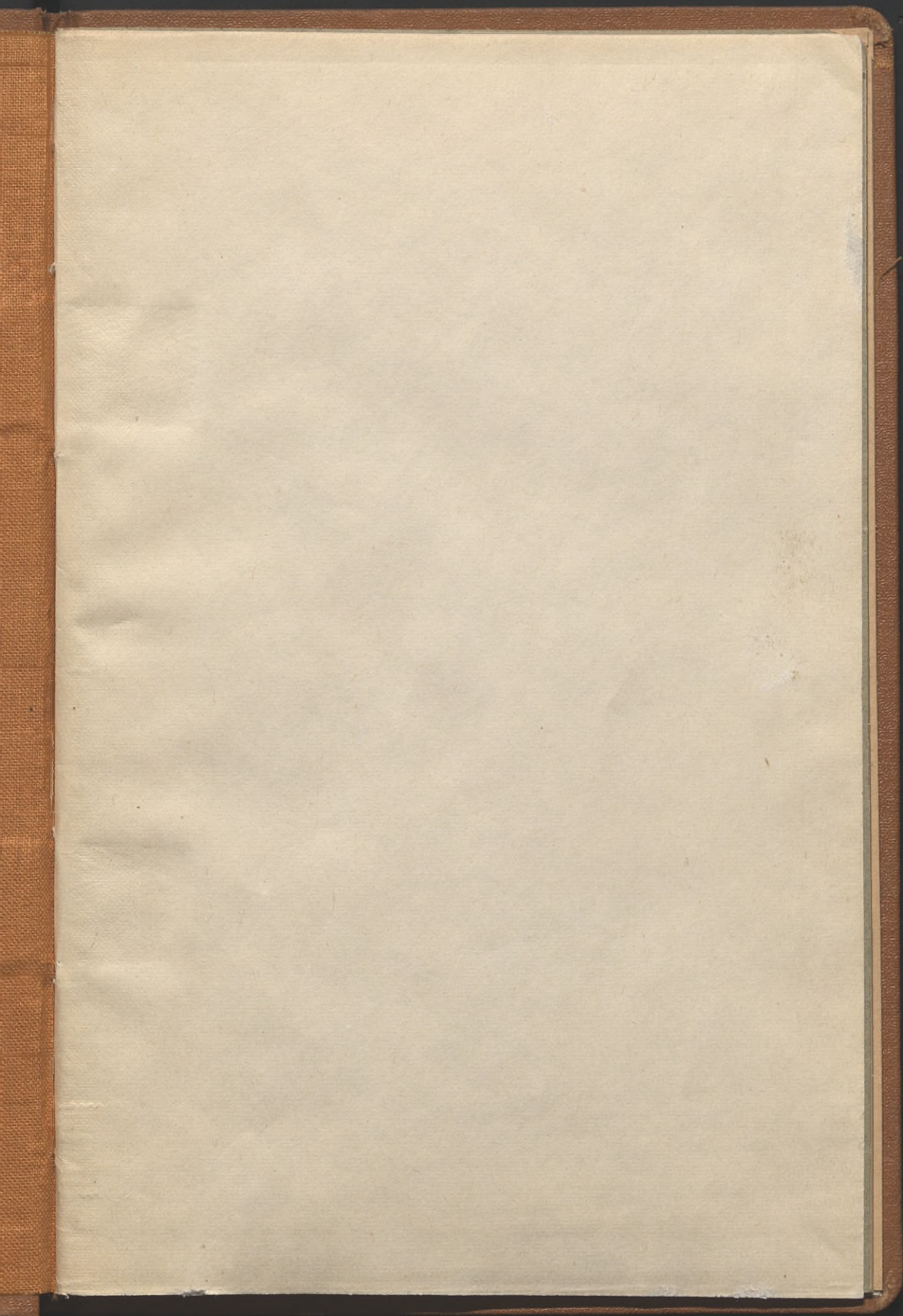








8

00

800 10

KONGRES KATOLICKI w Trewirze

skreślił

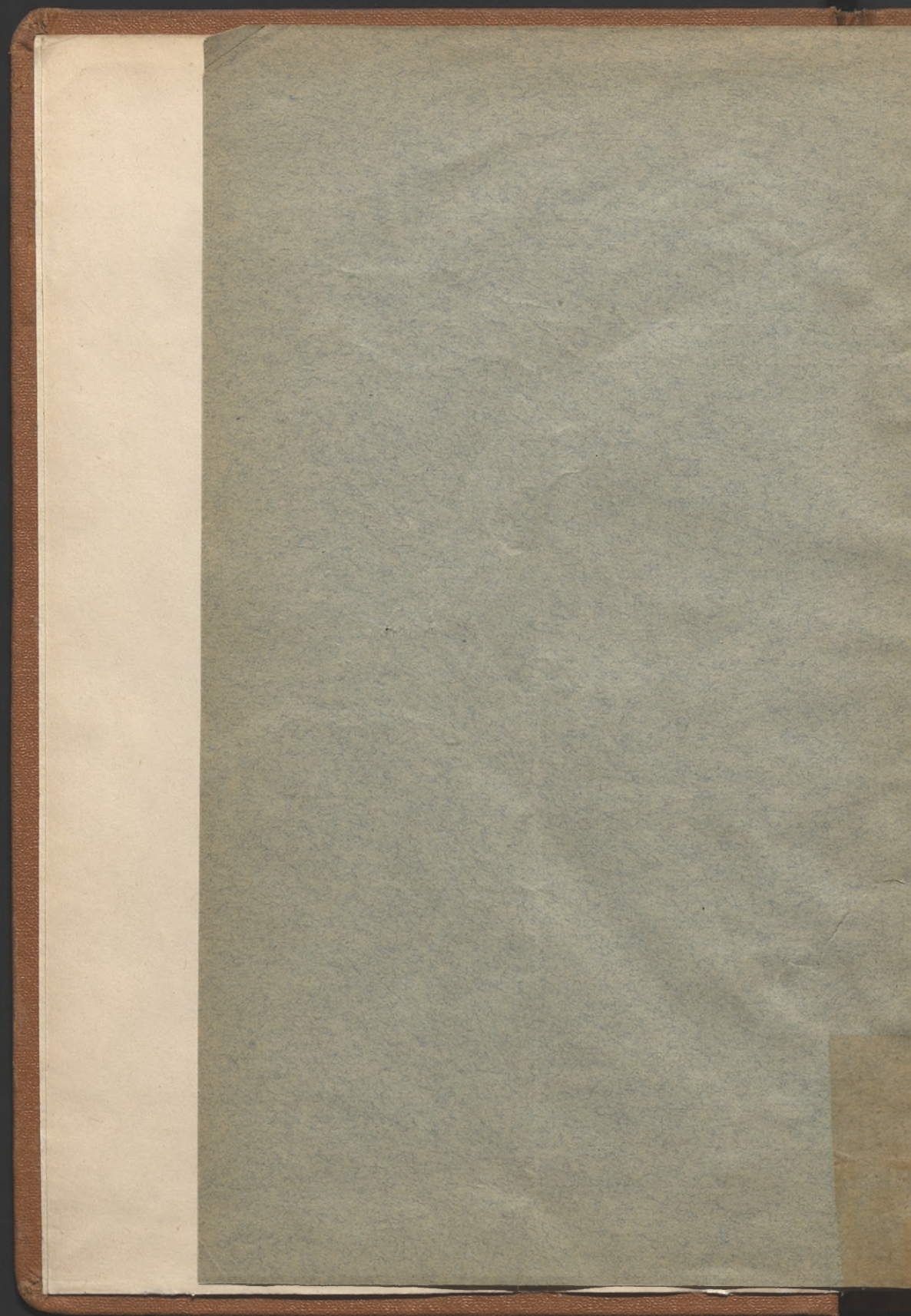
X. DR STEFAN PAWLICKI.



W KRAKOWIE,
W DRUKARNI „CZASU“ FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

1887.

00



300

KONGRES KATOLICKI w Trewirze

skreślił

X. DR STEFAN PAWLICKI.



W KRAKOWIE,
W DRUKARNI „CZASU“ FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Lakocińskiego.
1887.



00800



800

Osobne odbicie z „Przeglądu Polskiego”. Nakładem Redakcyi.

Do Jego Excell. J. W. Pana Pawła Popiela

w Ruszczy.

Dalem namówić się przyjaciółom, abym napisał choć parę słów o mojej wycieczce do Trewiru. Że pozwoliłem sobie krótką relację przypisać Waszej Excellencyi, temu nikt się nie zdziwi, kto wie, z jak baczną uwagą Excellencya śledzi nawet najmniejsze objawy życia katolickiego w Niemczech. Nikt lepiej od Excellencyi nie zna owych znakomitych mężów, którzy w pierwszej połowie naszego stulecia usiłowali związać nanowo teraźniejszość z tradycjami religijnej przeszłości. Byłyto czasy, kiedy gieniusz Szleglów, Goerresa, Overbecka, Corneliusa otwierał myśli niemieckiej nieznane horyzonty. Wtedy podróżowałeś, Excellencyo, po krajach niemieckich i poznałeś świetne plejady uczonych, którzy w Monachium, Tubindze, Fryburgu i miastach nad Renem z niezwykłym powodzeniem pracowali nad odrodzeniem wiary i wiedzy katolickiej. Haneberg, Windischmann, Möhler, Hefele, Staudenmaier i tylu innych, czarowali młodzież ciepłem swej wymowy i genialnością poglądów, a nawet daleko po za mury uniwersytetów rozchodziły się błyski ich dowcipu i zdobycze pracy. Dzisiaj naturalizm berliński, wykarmiony muzą bezwstydną Heinego, z szyderczem lekceważeniem wspomina o „romantyce owych mężów

i lituje się nad ich „chorobliwym sentymentalizmem,“ obrzuca błotem ich pamięć za to, że śmieli wierzyć w braterstwo ludów i kochać ideał wolności, nie krzywdząc żadnego narodu. Od owych czasów, ustrój społeczny Niemiec zmienił się z gruntu; polityczny egoizm i systematyczna niewiara wyziębiły w masach protestanckich ostatnie resztki szlacheśnych zapędów, ale pozostała nietkniętą lepsza, katolicka połowa. Ona żyje dalej wspomnieniami wielkich odnowicieli tradycji chrześcijańskiej. Jeżeli ona potrafiła związać się w silne stronnictwo polityczne i z energią wyższą nad pochwały, przez lat piętnaście udaremnić złowrogie zabiegi sprzysiężonych przeciw kościołowi liberałów, a nawet stawiać opór zwycięski olbrzymiej pruskiej potędze, zaiste po Bogu, zawdzięcza to ona metodzie, celom, naukom wielkiego Goerresa i szkoły, którą zostawił po sobie. A co zrobili katolicy w Niemczech, to początek dopiero niezmiernej pracy dziejowej, przeznaczonych wyrzucić wpływ nieobliczony na przyszłe losy ich ojczyzny. Mam sobie za wielkie szczęście, że mogę od czasu do czasu przypatrzeć się zbliska szerokiej a cichej akcji, wytrwałej a pełnej umiarkowania, mającej w sobie pewność zwycięstwa. Wiedząc zaś, jak żywo *Excellencya* interesuje się spadkobiercami duchowymi Goerresa, Szleglów, Philippsa, Sailera, Kettelera, ośmieliłem się przypuszczać, że krótkka o nich wzmianka sprawi *Excellencyi* choć małą przyjemność.

*

*

*

Pojechałem do Nieniec z młodym przyjacielem, aby zwiedzić muzea i pomniki, a doczekać się, gdyby można, zjazdu Towarzystwa Goerresowego. Niestety, dowiedziałem się w Moguncyi, że w tym roku odbędzie się późno w jesieni, kiedy już będę musiał być z powrotem w Krakowie. Ale szczęśliwym trafem był zapowiedziany roczny kongres katolików niemieckich w Trewirze, a przypisywano mu wielką doniosłość polityczną. Liberalni dowodzili, że wcale do skutku nie dojdzie; katolicy obawiali się, że sprowadzi wielkie rozdwojenie. Skoro zawarty już pokój między Kościołem a państwem, tak mówili, a Leon XIII w przyszłości może wprost

porozumiewać się z Berlinem, zjazdy katolickie straciły wszelki cel i znaczenie, a mogą tylko szkodliwie wpłynąć na dobre intencje rządu. Wszyscy zaś byli przekonani, że zanoszą się na wielkie przesilenie w obozie samych katolików. Niezwykle przepowiednie liberałów a poważne obawy katolików, były aż nadto wystarczającym motywem, aby udać się czempredzej do Trewiru.

Nazajutrz odpłynęliśmy do Koblencji, Podróż Renem właściwie nie jest jazdą, bo siedząc na pokładzie, masz iluzję, że zostajesz na miejscu, a idealnie piękne panoramy, z coraz nowymi kształtami, przesuwa się przed wzrokiem zdumionym. Ciągła zmiana dekoracji tak wypełnia całą uwagę, że zanim spostrzeżesz się, jesteś u celu drogi. Od Koblencji nowy, odmienny krajobraz. Jedziemy wzdłuż Mozelli o łagodnych pagórkach, wszystkie pokryte winnicami. Okolica mniej wspaniała, ale zawsze piękna i prastarej kultury znamiona nosząca na sobie. Pociąg nasz zabiera na każdej stacji nowe tłumy, a pomimo dodawanych wagonów robi się coraz ciasniej; oczywisty dowód, że kongres uda się wbrew smutnym proroctwom dzienników liberalnych.

Przyjechaliśmy do Trewiru późno wieczorem 28 sierpnia, a szczęśliwie odszukawszy nasze mieszkanie, udaliśmy się zaraz do kasyna. Właśnie kończył mowę powitalną burmistrz de Nys, mężczyzna w sile wieku, o sympatycznych, inteligentnych rysach i postawie okazałej, mówiący łatwo i wykwintnie. Wysławiał męczenników, których mnóstwo spoczywa po kościołach miasta, i wiekopomną szatę Chrystusa, która, jak wiadomo, jest najdroższym skarbem Trewiryczków. Ze szczerem zapalem mówił o miłości, którą on i ludność cała przejęci są ku Ojcu chrześcijaństwa, a ciepło słów jego trafiało do serc wszystkich. Czujemy się od razu w atmosferze katolickiej, a choć z nikim jeszcze nie mówiliśmy, zdaje się nam, że jesteśmy wśród samych dobrych znajomych. Ledwo skończył zacytować burmistrz, zaintonowano rzewną pieśń: „*Den Gruss lasst erschallen zum ewigen Rom*,” którą już tyle razy słyszałem na komersach studenckich, a zawsze z nowym wzruszeniem. Dopiero w przeszłym roku dowiedziałem się przypadkiem, że nieznanym jej autorem jest bar. Hert-

ling, profesor monachijski. Póki śpiewają, rozpatrzmy się po sali.

Wybudowano ją umyślnie dla zjazdu w ogrodzie kasyna; cała z drzewa, w stylu gustownym, z wyborną wentylacją; jest długa pięćdziesiąt kilka metrów, szeroka przeszło dwadzieścia, a wysoka na dwa piętra. Z galeryami na dole a łozami na górze, może pomieścić do 4.000 osób, i to jedno daje wyobrażenie o energii i gorących uczuciach miasteczka, które liczy ledwo trzecią część mieszkańców Krakowa. Tacyt zaręcza wprawdzie, że za jego czasów opływało w bogactwa, ale dzisiaj z pewnością nazywać się zamożnem nie może. W głębi sali kolosalna grupa z gipsu, przedstawiająca św. Piotra w chwili, gdy oddaje łaskę swoją Eucharyuszowi i wyprawia z błogosławieństwem do ludu trewirskiego. Nad grupą historyczny napis, jaśniejący na jednej z bram miejskich: *Trevirenses urbem Dominus benedicat et plebem*. Naokoło sali chorągwi bez końca, najwięcej papieskich i biskupich, Pod łozami, wśród festynów, nazwy miast, gdzie odbyły się kongresy poprzednie: pierwszy w Moguncyi w r. 1848, gdy całe Niemcy szamotały się w rewolucyjnych konwulsjach, a jedni katolicy stali wiernie przy tronach i swoją odwagą dopomogli zdusić anarchię. Ale rządy nie znają wdzięczności, nie mają pamięci; gdyby mieli choć drugą, nie byłyby zaczęły *Kulturkampf*. Odpędźmy jednak myśli smutne a niewczesne, skoro w sali panują radość i zadowolenie. Z każdą strofą pieśni zapal rośnie, przybywa gości coraz więcej; łoże, galerye, środek sali, roją się od głów ludzkich. Jasne stroje pań po łozach (przeważnie białe, lillowe i różowe), wielobarwne makaty i dywany, zielone festony, złociste napisy, żółtawe światło trzech wielkich lamp elektrycznych a niebieskawe kilkunastu mniejszych, spływają razem w ciepłą, uroczyście wesołą harmonię, która wprawia w zdumienie, gdy się pomyśli, że przed trzema miesiącami na tem miejscu nie było, prócz kilkunastu mizernych drzewek i dużo gliny; wybudowano bowiem salę w najbardziej opuszczonej części ogrodu.

Pieśń skończona. Rozehodzi się szmer po sali, potem oklaski, nareszcie przeciągle odzywają się fanfary; na estradzie ukazał się Windthorst. Już po tem przyjęciu widocz-

nem jest, że katolicy zapomnieli o septenacie i listach Jacobiniego i różnych sporach domowych, a z dziwną jednością, ile razy zachodzi potrzeba, bronią chorągwi, pod którą służą. „Mała Excellencya“ panuje nad wielką sytuacją polityczną. Drobniego wzrostu, nie wyższy od pewnej osobistości, którą cały Kraków zna i szanuje, tylko trochę grubszy, bez oratorskich przymiotów, bo nie widzi, nie gestykuje, mówi pocichu i jednostajnie. Ale pod niepozorną powłoką kryje się rozum wielki i gorące serce, a gdy się raz go słyszało, trudno nie pokochać starca, który nie zna odpoczynku, zawsze w pierwszym stawia szeregu tam, gdzie niebezpieczeństwo największe, i który mówi tak jasno i treściwie i dowcipnie, pomimo swoich lat ośmdziesięciu. To też kochają go wszyscy. Mówi zrazu pocichu, potem zwolna głos jego się podnosi, a czuć w nim głębokie przeświadczenie o ważności chwili; czuć w nim, że oczy całych Niemiec zwrócone ku Trewirowi, i że przebieg obrad pokaże, czy wielkie stronnictwo polityczne, którego jest przywódcą, będzie istniało dalej, bitnie i karnie, lub też rozpadnie się na drobne fakcye, bez znaczenia i bez groźby dla kanclerza niemieckiego. Windthorst rozwija swój program, w którym nie znać ani znużenia, ani rychłej chęci ustąpienia z areny politycznej. Streszcza go w tych krótkich, wzniosłych słowach: „Dumnie wznosimy czoła, broniąc naszych praw; nie prosimy o nic, żądamy tego tylko, co nam się należy.“ Struna wojownicza w którą mówca uderzył, będzie brzmiała przez wszystkie dni kongresu, bo wyraża to, co w głębi dusz swoich czują wszyscy. Zjechali się ludzie samodzielni, energiczni, ze wszystkich stron Niemiec, którzy wypowiedzą wszystko, co myślą, nie obwiniają nic w bawelnę, nie powiedzą czezych grzeczności rządowi. „Chcemy słuchać praw, woła mówca, tak, jak słuchają wolni obywatele, ale żebrać — przenigdy!“

Olbrzymi entuzjazm powstaje, gdy skończył; kto może docisnąć się, dziękuje wielkiemu politykowi, a powoli dyskusa zamienia się w wesolą gawędę. Coraz więcej stolów wnoszą, a że wewnątrz sali i zewnątrz upał wielki i pragnienie bajeczne, nie może służba wystarczyć rozpaczliwym wołaniom. Gaszenie pragnienia jest tym razem istną pracą Danaidek, jak świadczą coraz nowe setki butelek i kufi, na-

stępujące szybko po wypróżnionych. Stary Windthorst, chcąc dowieść, że zupełnie odmłodniał, wznosi toast dowcipny na cześć niemieckich pań, naprzód swojej, a potem wszystkich obecnych. Cytuje jakąś bitwę z Tacyta, gdzie odważne Germanki uciekających mężów zwróciły nanowo przeciw legionom, ale dodał czempredzej, że jego nie potrzebowała żona wypędzać z domu do walki, on zawsze był gotów. Oczywiście robi się wieczór coraz bardziej „*gemüthlich*“, jak oświadcza X. Schütz, uczony profesor biskupiego seminarium. Jako prezes komitetu lokalnego, dźwiga olbrzymi ciężar od kilku tygodni lekko i wesoło. Znam go oddawna, a nigdy nie widziałem go zasępionym. Na wszystkie pytania, a słyszy ich setki tego wieczora, odpowiada z nieznudzoną uprzejmością. Jeden pyta o listy, drugi żąda lepszego mieszkania, trzeci chce wiedzieć, gdzie i kiedy będzie mógł odprawić mszę św.; czwarty o księgarza bada, piąty o dobrą restaurację; on nigdy nie traci humoru, załatwia rzecz każdąprędko, pragnie być na usługi wszystkich. Windthorst tymczasem obchodzi górne galerye, rozmawia z paniami, znajomym podaje rękę, nieznanym się przedstawia, dla każdej ma słówko przyjemne w pogotowiu.

Już jedenasta, a nie widać końca zebrania. Spieszymy nareszcie do domu, aby obejrzeć mieszkanie. Po ulicach ruch niezwykły, bo ostatni pociąg przywiózł nowe tłumy pielgrzymów. Uprzejmy gospodarz, z całą rodziną, czeka nas z herbata, po której na powitanie przynosi jakieś niezwykle wino mozelskie, zupełnie nieznane w naszych stronach. Wyrażamy radość, że raz przecież jesteśmy w północnym Rzymie. Rzekniesz, odpowiada pan domu, miasto nasze to jakoby drugi Rzym, bo chrześcijaństwo u nas prawie takie stare, jak nad Tybrem. A pani domu dodaje: „jesteśmy starsi od Rzymu, bo tysiąc trzysta lat przed Romulusem założył gród nasz Trebeta, syn Ninusa, uchodząc przed gniewem macochy Semiramidy.“ — „Nie mógł rozkoszniejszego miejsca obrać sobie“ — odpieramy, i na ten temat archeologiczny toczyła się jeszcze długo wesoła rozmowa. Zostawiam historykom zbadanie początków Trewiru; cokolwiek orzekną, nie zmieniają faktu, że stąpamy po ziemi z odwieczną kulturą, na którą

złożyły się niezliczone pokolenia, tak, jak całą przepyszną dolinę, Mozella rzeka, niestrudzoną pracą, naniosła powoli, warstwę po warstwie, w ciągu wieków i zamieniła w kraj uroczy, żyzny i bogaty.

*

*

*

Rano 28 sierpnia w katedrze uroczyste nabożeństwo na intencję kongresu. Najciekawszy, a niewątpliwie i najstarszy z kościołów romańskich po za granicami Włoch. Tylko Lateranowi ustępuje on pierwszeństwa, bo najprawdopodobniej zaraz po edykcji medyolańskim założyła go cesarzowa Helena, kazawszy wielką salę swego pałacu przerobić na dom Boży. Miała wielkie przywiązanie do miasta, w którym długo przebywała, naprzód z mężem, potem z synem; a że mąż jej, pod presją Dyoklecjana, zburzył nawet w Trewirze niejedną świątynię chrześcijańską, pragnęła hojnie krzywdę naprawić. Świetna budowa, opierająca się na czterech olbrzymich kolumnach, z czerwonego piaskowca, przekładanego warstwami cegieł, dzieliła wiernie wszystkie dobre i złe dole miasta. W ciągu piątego stulecia pięć razy spustoszona, została w szóstym wieku w dawnej formie odnowiona, ale już gorszym materiałem, co wszystko da się odróżnić jeszcze w dzisiejszych murach. W dziewiątym wieku zniszczona przez Normanów, zmartwychwstała z gruzów w jedenastym za dziełnego biskupa Poppona, ale już w powiększonych rozmiarach, z oryginalną fasadą i czysto romańskimi wieżami; w dwunastym przybyła druga absyda; w trzynastym rzymskie sklepienia naw zastąpione ogiwałnemi i gotycka ornamentyka bierze górę nad dawną romańską. Wszystkie te przemiany można studyować na tym gmachu ciekawym i nigdzie indziej, ani we Francyi, ani w Niemczech, tradycje starorzyskie nie panują tak długo w architekturze. W szóstym wieku są jeszcze w pełnej sile, a co dziwniejsze, jeszcze w wieku jedenastym, nie są zatarte; najważniejsza zaś dla archeologa chwila przejścia, gdy w pierwszych latach trzynastego stulecia, tyłowiekowa tradycja rzymskich architektów ustępuje zwolna przed rodzącą się sztuką gotycką. Prawdziwym unikatem z tej strony Alp są resztki polichromii

z szóstego wieku, według techniki starorzymskiej wykonane na grubym, niedbale sporządzonym tytku.

Bogatsze od architektury, są historyczne wspomnienia katedry. Św. Agrycysz, za Konstantyna, rozpoczyna erę wolności, przyznając katolikom, sprowadzeniem zwłok Macieja apostoła. Jego następcy, Maksym i Paulin, obaj święci, walczą mężnie przeciw Aryanom, a Paulin gorliwość apostołską przypłaca wygnaniem i śmiercią na dalekim wschodzie. W tymże czasie wielki wyznawca Atanazy tutaj internowany, modli się za ukochaną Alexandryą, do której wracać mu nie pozwala gniew Konstancyusza. A gdy za Walentyniana I odetchnął swobodnie katolicyzm, znowu ta katedra widzi wielkich świętych w swoich murach: Ambroży przybywa często w ważnych interesach, Hieronim tutaj gości trawiony żądzą wiedzy, biskup Marcin z Tours nadaremnie usiłuje wybawić od śmierci Pryscylliana heretyka, którego ściąć kazał samozwaniec Maksym, pomimo energicznych protestów papieża Syrycyusza i św. Ambrożego. Nadechdzą dziekie czasy frankońskie. Św. Nicecysz, odnowiciel katedry, zmuszony dwóch królów ekskomunikować za straszliwe zbrodnie, ale ich syny i wnuki hojnie naprawiają grzechy przodków. Pod ich rządami łagodnemi, a później za Karolingów, dycieczą rośnie w potęgę i przetrwawszy zawieruchę normanńską, staje się udzielnem księstwem, którego elektorowie, również dbali o rozkwit biskupstwa, jak o pomyślność rzymskiego imperyum, zamieniają stolicę swoją w ognisko oświaty i cnót obywatelskich. Patrząc na ich grobowce, widzi się, jakoby wykute w marmurze dzieje Niemiec od trzynastego stulecia. Boemund von Warsberg, Balduin luxemburski, brat Henryka VII, Kuno von Falkenstein, Ryszard III von Greifenklau, pogromca reformacji, to posagowe postacie, godne stanąć obok największych panujących.

Ale zawiele tych wspomnień; czas nagli, a katedra tylko cząsteczką jedną zadziwiających pomników, jakie Trewir szczęśliwy posiada. Sam skarbiec zasługiwałby na długi opis, takie śliczne w nim relikwiarze, ołtarzyki, kadzielnice, pargaminy drogo oprowne, lichtarze, pastorały, rzeźby ze słonowej kości, a wszystkie tak starożytne, że najmłodsze

z XIV, inne z X pochodzą stulecia; ale są i takie, co do piątego sięgają. A za katedrą ten imponujący krużganek gotycki, pod którym spoczywają biskupi sufragani, a tuż przy krużganku niezrównany kościół gotycki z XIII wieku, jedyny w swoim rodzaju w Niemczech, a nawet w całej Europie. Kto go nie widział, ma o gotyce wyobrażenie niekompletne. Wystawcie sobie dwanaście filarów równej wysokości, ustawionych w krzyż grecki, a naokoło dwanaście kaplic tak rozłożonych, że każdej oś trafia w sam środek tego krzyża; dodajcie w głębi chór z wielkim ołtarzem, a przy wniściu odpowiednio wypukłe półkole, i otrzymacie obraz róży o czternastu liściach, obraz taki symetryczny i wesóły, z taką masą światła z góry, wpadającego zewsząd przez wysokie okna, że się stoi w niemym podziw i wierzyć nie chce, i duma, jak tasama sztuka, która zwykła pod niebiosą piętrzyć głaz na głazie, tutaj, na cześć Najświętszej Panny, zapomniiała o sile ramion swoich, i chciała tylko być drobną, nadobną i czułą.

*

*

*

Po skończonem nabożeństwie jedziemy do kasyna. Zapowiedziane na dziesiątą pierwsze posiedzenie zamknięte, niebawem się rozpoczyna. Po odczytaniu wspaniałego listu papieskiego, w którym wyrażona nadzieja, że posłowie i lud katolicki, wspólnie z biskupami, będą bronili praw Kościoła i wolności religii, obrany przez akłamację prezesem hrabia Ballestrem ze Szląska, postać żołnierska, weteran doświadczony, który niejedną odbył kampanię sejmową. Ma głos silny i dźwięczny, a każde słowo jego płynie z duszy prawdziwie katolickiej. Jego mowa programowa da się streścić w tych słowach, że wprowadzie pokój zawarty między *sacerdotium* a *imperium*, ale to pokój niezupełny, raczej zawieszenie broni; odzyskało się niejedno, ale trzeba odzyskać więcej, a na to potrzeba nowych ofiar i niezłomnej wytrwałości ludu katolickiego. Po mowie, przyjętej z wielkim zapalem, wybrano dwóch innych weteranów politycznych prezesami honorowymi, kanonika Moufange i Augusta Rei-

chenspergera, oraz przewodniczących i sekretarzy różnych wydziałów i komisyj. Ogłoszono także porządek dzienny, który na wszystkich kongresach jest tensam mniej więcej: rano posiedzenie zamknięte, wieczorem publiczne, po którym następuje zabawa towarzyska. Resztę dnia wypełniają obrady wydziałów i komisyj, które w tym roku zredukowano do pięciu. Posiedzenia zamknięte są ważniejsze, bo na nich dyskutuje się i głosuje nad wnioskami, przygotowanymi przez komisye; publiczne są więcej zajmujące, bo na nich znawcy specjaliści rozwijają w długich, starannie opracowanych mowach, ciekawe temata z bieżących spraw kościelnych, społecznych lub literackich. Dla prac po komisjach nigdy niebrak materiału, bo wybrany przy końcu kongresu komisarz jeneralny, obowiązany wyznaczyć w ciągu roku miejsce przyszłego zjazdu, utworzyć tam komitet lokalny i przygotować wszystkie kwestye, obchodzące rozwój życia katolickiego w Niemczech i za granicą. Na przedostatnim zjeździe w Wrocławiu, wybrano komisarzem X. Loewensteina, którego talent organizatorski oddawna znany. Mechanizm ten nader prosty, jeżeli się zważy ogrom interesów wchodzących tu w rachubę, funkcyonuje wybornie od lat trzydziestu kilku.

W południe zakończono pierwsze posiedzenie zamknięte i zaczęły się zaraz obrady komisyj, którym poświęcić muszę choć parę słów, aby uwydatnić rozkład bogatego materiału. *Pierwsza* miała zajmować się jubileuszem papieskim, *druga* kwestyami socyalnymi, *trzecia* nauką, dziennikarstwem i sztuką, *czwarta* misyami, *piąta* szkołą i wychowaniem. W każdej z tych komisyj, zaraz pierwszego dnia zapadły ważne uchwały. Druga np. postanowiła tylko takie zakładać kolonie robocze, które będą pozostawały bezpośrednio pod dozorem i opieką władz kościelnych; trzecia poleciła gorąco utworzenie czasopisma dla sztuki chrześcijańskiej; czwarta obradowała gruntownie nad potrzebą wspierania misyj katolickich w Ziemi św., w Serbii i na wyspach Oceanii; piąta odrzuciła stanowczo wniosek zbierania funduszków, aby ułatwić biednym rodzicom oddawanie dzieci do gimnazyów. Dyskusya była ożywiona, bo zwolennicy wniosku utrzymywali, że mnóstwo zdolnych chłopców, pozbawionych edukacyi gimnazyalnej, marnuje się z wielką dla społeczeństwa

szkodą. Przeciwnicy znowu wykazywali liczbami, że w Niemczech istnieje od wielu lat hyperprodukcya młodzieży wykształconej, nie mającej ochoty brać się do rzemiosła lub handlu; że rządy niektóre, jak badeński i pruski, celem zaradzenia złemu, wydały już surowe przepisy, by obostrono egzamina dojrzałości; że wreszcie biskupi mają dostateczne fundusze na wychowywanie potrzebnej dla swoich dyecezyj ilości kleryków, a nie należy lekkomyślnie mnożyć proletaryatu niby uczonego. Te argumenta tak były przekonywające, że przy głosowaniu zwolennicy wniosku i szerzenia oświaty *à tout prix* pozostali w ogromnej mniejszości.

Zachowałem nakoniec komisję pierwszą, bo siedziałem w niej dłużej, i sądzę, że jej uchwały także dla polskich czytelników mieć powinny aktualne znaczenie. Zajmowała się wyłącznie sprawą jubileuszu papieskiego. Gdyby przypadł przed rokiem projekt brania w nim udziału, spotkałby się niewątpliwie ze szczerym entuzjazmem, i rzecz cała poszłaby gładko, energicznie. Ale nieszczęście chciało, że pierwsze przygotowania podjęto w chwili, gdy umysły katolików były nadzwyczaj rozdrażnione. Zrazu septenat, potem koncecye przez Rzym zrobione kancierzowi, a wydające się być z ujmą godności Kościoła, zgotowały wiernym bolesne rozczarowanie, a dusze przepelnily goryczą. Najbardziej obeszło wszystkich, że pokój zawarty został za plecami posłów, którzy przez tyle lat stali na wyłomie i z poświęceniem niewidzianem bronili świętej sprawy wolności kościoła i sumień. To też ociągano się długo z jakąkolwiek propozycją w sprawie jubileuszu, by nie powiększyć kwasów, nie wywołać fatalnych protestów. Ale Niemiec nie powoduje się zbyt długo uczuciami, u niego zawsze refleksya górę bierze, a co obowiązkiem być uznał, spełnia sumiennie. Powiedziano sobie, że septenat jest w gruncie kwestyą pieniężną, że koncecye zrobione rządowi będzie można z czasem odebrać, a honor Niemiec wymaga, żeby jak najświetniej wystąpiły w Rzymie, wobec innych narodów katolickich. Ta uwaga przemogła, a gdy zebrala się komisya, panowała w jej łonie zupełna zgoda. Bez długiej dyskusyi uchwalono, żeby pierwszy styczeń obchodzić uroczystie w całym kraju, a na wiosnę wyruszyć jak najliczniej do wiecznego miasta. W tym celu

zbiorą się trzy wielkie pielgrzymki w Wrocławiu, Monachium i Fryburgu, a połączywszy się za Alpami, prawdopodobnie w Weronie, puszczą się razem w dalszą podróż. Dary napływają hojnie w pieniądzach, sprzętach kościelnych, kosztownościach wszelkiego rodzaju. Jeżeli był żal jaki do Stolicy świętej za zbyt uczynne, jak sądzono, uleganie Berlinowi, dzisiaj, gdy kreślę te słowa, ślad najmniejszy nie pozostał w sercach, a zajęci są wszyscy jedną myślą, by ucześć Leona XIII tak, jak przystało na wielki naród, przywiązany do namiestnika Chrystusowego. Z licznych darów, które już w sierpniu prawie były gotowe, dwa wymieniam, bo charakteryzują ducha niemieckiego: bibliotekę jubileuszową, złożoną ze wszystkich publikacyj katolickich, jakie ukazały się w Niemczech za rządów obecnego papieża (liczyła w sierpniu już przeszło 8.000 numerów), i śliczny ołtarzyk gotycki, przy którym papież przyrzekł odprawić sekundycę swoje, wyłożony relikwiami wszystkich patronów i świętych niemieckich.

Wieczorem o szóstej trzeba było znowu spieszyć do sali na posiedzenie publiczne. Rzadko widziałem również świetne zebranie. Na estradzie najwięksi mówcy katolicy i najslawniejsze imiona z arystokracji, duchowieństwa, świeckiej inteligencji, a parter literalnie zapełniony tysiącami głów, przybyłych ze wszystkich stron Niemiec, Austrii, Luxemburga, nawet z Francji i Anglii. Ballestrem wygłasza dzielną mowę na temat, że organizacja katolicka potrzebniejsza dziś niż kiedykolwiek, ale że pomimo to gotów rozwiązać kongres, gdyby przypuszczał na chwilę, że nie życzy go sobie Ojciec św. W tej chwili przynoszą telegram kardynała sekretarza Stanu, z błogosławieństwem papieskim dla prac i uczestników zjazdu. Entuzjazm ogromny jeszcze wzmagają się, gdy mówca kończy słowami Zbawiciela: *vigilate et orate*, które dowcipnie tak tłómaczy: módlcie się i organizujcie. A niema końca uniesieniu, gdy stary Windthorst wstaje i serdecznie ściska mówcę, na dowód, że całe centrum jest w zgodzie i jedności.

Po prezesie mówi biskup trewirski. Wyraz twarzy wesoly, z lekkim odcieniem smutku, rysy zachodnie, intelligentne, postać pełna godności; mówca znakomity, z zapalem

prawdziwie apostołskim. Był słynnym kaznodzieją francuskim w Strasburgu, gdy polityka Bismarka, z ojczyściej Alzacyi, przerzuciła go do Niemiec, na stolicę biskupią. Nigdy zgrabniejszą nie była dyplomacya berlińska, jak kiedy prosiła w Rzymie o Koruma na pasterza trewirskiego. Był główną podporą francuskiego patryotyzmu w Alzacyi, prawą ręką podstarzałego a dziś już zmarłego biskupa Raessa i domniemanym jego następcą; był kochany, jak żaden drugi przez duchowieństwo i wiernych. Leon XIII zrazu zdziwił się propozycyi, potem skwapliwie przyjął, bo nigdy rząd żaden nie przedstawiał kandydata godniejszego na dostojny urząd biskupi. *Hinc prima mali labes*, godzi się zawołać z poetą. Rząd pruski podówczas pragnął obsadzić biskupstwa osieroczone, aby choć małym ustępstwem złagodzić rosnące niezadowolenie katolickich poddanych; ale przebiegły, jak zawsze, wołał układać się o każdą dyecezyę z osobna, niż o wszystkie razem, aby móżdż poznańsko-gnieźnieński pozostawić na sam koniec. Zaczął od trewirskiej, a przedstawił takiego kandydata, że wobec niezwykłego faktu nikt nie śmiał zawołać z Laokoontem: *timeo Danaos et dona ferentes*. Po obsadzeniu pierwszej dyecezyi, nie było sposobu nie przyjąć propozycyi co do drugiej i trzeciej; a dopiero gdy przysła kolej na ostatnią, poznańską, odsłonił się fałsz owej gry dyplomatycznej. Układy, które przedtem szły gładko, doznały nagle przerwy, a nareszcie zakończyły się ustępstwem ze strony Rzymu, którego w owych warunkach i po wszystkim, co zaszło, uniknąć nie można było. Gdy trewirską sprawę po raz pierwszy poruszono, mało kto przewidywał, że ten pierwszy krok pojednawczy pociągnie za sobą cały szereg upokorzeń, bo niewątpliwie upokorzeniem było dla Stolicy Św., że wszystkich przez nią stawianych kandydatów na katedrę św. Wojciecha, rząd berliński jednego po drugim z zaciętym uporem odrzucił.

X. Korum nie miał ochoty opuścić kochanej Alzacyi, z pokorą jednak spełnił rozkaz namiestnika Chrystusowego. Nie były uczucia jego zbyt wesołe, gdy wjeżdżał do nowej ojczyzny; ale zostawszy następcą św. Eucharego, ukochał całym sercem powierzone sobie duchowne owieczki, a te niebawem płaciły mu szczerą wzajemnością. Z energią i taktem

zabrał się do odbudowania ruin, namnożonych przez długi *Kulturkampf*, a Bóg błogosławił jego trudom. Trewiryanie nawykli prędko do jego cudzoziemskiego akcentu, do jasnego, wykwintnego stylu, do świetnych przenośni, do ruchów i mimiki żywej, namiętnej, którą mównicy francuscy o siedm nieb przewyższają niemieckich.

Mówi długo i wspaniale o jedności Kościoła i bliskiem jego zwycięstwie nad niewiarą. Wspomina rzewnie Montalemberta i wylicza postępy olbrzymie, jakie zrobiła sprawa katolicka od dni owych, kiedy po raz pierwszy wystąpił wielki szermierz francuski w jej obronie. Oddaje serdeczne pochwały kongresom katolickim, nazywając je soborami świeckimi; bez afektacyi oświadcza, że biskupom nie pozostaje nic do zrobienia, chyba modły dziękczynne zasylać do nieba, gdy widzą ludzi świeckich ożywionych taką wiarą, gorejących taką miłością do kościoła. W końcu z wielkiem wzruszeniem udzielił nam pasterskiego błogosławieństwa. Podczas jego przemówienia zaszło małe *intermezzo*, które codzień w południe i wieczór powtarzając się, wybornie maluje prostą, szczerą wiarę niemieckich katolików. Biskup był w połowie swej mowy, gdy zadzwoniono na „Anioł Pański.“ Hr. Ballestrem prosi, aby zaczął modlitwę. Biskup grzecznie odpięra, że prezesa rzeczą nietylko obrady, lecz i modlitwy prowadzić, a ten natychmiast bez fałszywej pokory, choć było obecnych kilku biskupów, zaczyna głośno: *Angelus Domini*, cztery tysiące zebranych wstaje, i odpowiadając mu chórem, odmawiają po łacinie pozdrowienie anielskie.

Po biskupie jeszcze dwóch wystąpiło mowców: znany adwokat Porsch z Wrocławia i p. Hitze, sekretarz jeneralny stowarzyszeń roboezych. Pierwszy dowodził potrzeby przywrócenia władzy świeckiej, drugi rozwijał program reform socyalnych, nad których urzeczywistnieniem pracują deputowani katolicy. Pomimo znużenia całodziennego, słuchano ich z uwagą i nie szczędzono oklasków, ale po nich nie dopuszczono już żadnego mównicy do słowa, bo była dziwiata godzina, a miał się zacząć niebawem komers katolickich studentów.

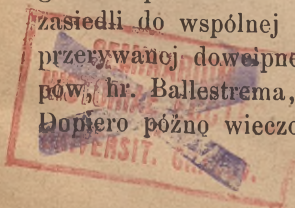
*

*

*

Obraz jednego dnia wystarczy, by dać czytelnikom pojęcie o przebiegu i pracach kongresu. Gdybym chciał również szczegółowo opisać dni następne, musiałbym znacznie rozszerzyć, na co mnie nie stać w tej chwili, moje krótkie sprawozdanie. Każdy z czterech dni podobny był do pierwszego, a tak wypełniony posiedzeniami, że tylko krótkie pozostawały chwile na odpoczynek i zwiedzanie pomników. Zwłaszcza wieczorne zebrania były uświetniane mnóstwem mów, poruszających prawie wszystkie kwestye żywotne naszych czasów, a wygłaszanych tak starannie, że cztery dni wydawały się nieustającym popisem najlepszych sił oratorskich, jakiemi szczyłą się dziś Niemcy katolickie. Baron Heeremann mówił o znaczeniu sztuki chrześcijańskiej; Dr. Hülkamp o literaturze bieżącej, zwłaszcza o romansach; dyrektor Hilt o zadaniach katolickiego przemysłowca; Dr. Hammer o walce katolickiego wychowania z nowożytnym liberalizmem; baron Gruben o sekularyzacyi dzieł miłosiernych; Dr. Lieber o pracach i zasługach cywilizatorskich zgromadzeń zakonnych; Dr. Racké o obowiązkach katolickiego obywatela itd. Rzucam kilka imion i tytułów tak z pamięci, gdyż urzędowe sprawozdanie jeszcze nie wyszło z druku; gdy się ukaże, będzie to spory tom, mogący posłużyć naksztalt wybornej książki podręcznej, do orientowania się we wszystkich głównych kwestyach politycznych, literackich, a nawet ekonomicznych, zostających w jakimś związku z życiem Kościoła w naszych czasach.

Nadszedł pierwszy wrzesień, ostatni dzień kongresu. Dawno przed naznaczoną godziną była sala zapehana; każdy chciał raz jeszcze usłyszeć Windthorsta. Mówił przeszło godzinę, a nie zdawał się wcale być znużonym. Mówiło jeszcze kilku panów w sprawie różnych rezolucyj, uchwalonych przez komisye, a gdy załatwiono wszystkie, zebrani uklękli przed biskupem i przyjęli kornie pasterskie błogosławieństwo. Za godzinę większość była już w drodze, uwożąc z trewirskiego grodu zapas wrażeń i nauk. Ale pozostało siedmiuset, którzy zasiedli do wspólnej uczty, wśród przyjacielskiej rozmowy, przerywanej dowcipnemi toastami na cześć papieża, biskupów, hr. Ballestrema, X. Loewensteina, miasto Trewir itp. Dopiero późno wieczorem zaczęto się rozchodzić z serdecz-



nem „do widzenia,“ a widzenie ma nastąpić za rok w bawarskiem miasteczku *Deggendorf*. Jak tam się pomieścimy, nikt nie przewiduje, ale przezorność X. Loewensteina, który znowu obrany komisarzem jeneralnym, niewątpliwie zaradzi wszystkiemu. Że kongres przyszedł odbędzie się w nieznaney mieścinie, w której nie niema do oglądania, przypisać należy jedynie temu względowi, że chciano trochę poruszyć Bawaryę południową, podobno bardzo ociążałą, a że *Deggendorf* niezbyt odległe od granicy austryackiej, spodziewają się tam wielkiego napływu gości z niemieckich prowincyj Cyslitawii. Kto tylko będzie mógł, ten pojedzie, bo znaczenie kongresów katolickich potężnieje z każdym rokiem, a dosyć przypomnieć powzięte w Trewirze uchwały, by ocenić wpływ ich dobroczynny na rozwój życia katolickiego. Wprawdzie zjazd taki nie jest polityczną instytucją, któraby mogła narzucić rządowi swoją wolę, czego w obecnych warunkach nawet parlament nie potrafi, ale niemniej jego życzenia w tak poważnej występują formie, że rząd zarówno, jak parlament, z nimi liczyć się muszą. Jeżeli zaś *centrum* tak wysokie zajęło stanowisko i tak stanowczą prowadzi politykę od lat piętnastu, zawdzięcza to li tylko zjazdowi, utrzymującym między niem a wyborcami ciągły, żywy stosunek. One nawet są dawniejsze od parlamentu i od Niemiec zjednoczonych, bo sięgają aż roku 1848; a gdy po wojnie francuskiej deputowani katolicycy związali się w jednolite, silne stronnictwo, zrobili to tylko, co oddawna już spełnili ich wyborcy; a nawet można bez przesady powiedzieć, że zjazdy wychowały deputowanych, narzuciły im program i dały szeroką, narodową podstawę, której dotąd szukają napróżno inne stronnictwa.

Dla samych zaś wyborców zjazdy okazały się nie mniejszem dobrodziejstwem, bo zamieniły się powoli w niezrównaną szkołę, gdzie dowiedzieć się można wszystkiego, co wiedzieć powinien obywatel katolicki. Kwestya władzy świeckiej papieża, położenie kościoła w Europie i w Niemczech, potrzeba niezależnego duchowieństwa, konieczność przywrócenia wszystkich zakonów, zadanie prasy katolickiej, rozwój katolickiej nauki i literatury, wydobywanie szkoły z pod samowoli państwa i oddanie jej napowrót pod dozór Kościoła i rodziców, polepszenie doli robotników, ratowanie wielkiej i malej włas-

ności ziemskiej, popieranie missyj wśród ludów pogańskich, opiekowanie się wychodźcami itd., wszystko to było w Trewirze szeroko traktowanem z nadzwyczajną znajomością, a w każdej z tych kwestyj uchwalono ważne wnioski, które, gdy parlament się zbierze, dla posłów katolickich będą pożądaną dyrektywą i pomocą. O każdej zaś z wymienionych spraw katolik mieć powinien sąd jasny, wszechstronny, a nie nabędzie go z samego czytania gazet lub książek, potrzebna jest dyskusya, potrzebne jest obecowanie z ludźmi fachowymi, których nigdzie nie znajdzie w podobnym wyborze i równej liczbie, jak na dorocznych powszechnych zjazdach katolików. Niemniej wielką korzyść odnosi z nich młodzież akademicka. Ta niestety po gimnazyach chowana w niechrześcijańskich zasadach, dopiero w ciągu studyów uniwersyteckich, przy błogiem działaniu stowarzyszeń studenckich, powoli do katolickiej dochodzi świadomości. Młodzież ta, przybywając w znacznej liczbie (w Trewirze było aż kilkuset), poznaje osobiście znakomitych przywódców swego narodu, a ci chętnie udzielają się, nie skąpią dobrych rad i za przykładem starego Windthorsta rzucają w dusze młodzieńcze ziarna mądrości i enoty.

Raziło wpływowych ludzi, a najbardziej Windthorsta, że z Polaków poznańskich nikt nie przyjechał. Już w przeszłym roku nie było prawie nikogo w Wrocławiu, w tym roku zupełna nastąpiła absencya. — „Pojmuję, że Polacy są wielce przygnębieni, rzekł do mnie Windthorst, ale to nie racya, żeby się odsuwać od przyjaciół. My także byliśmy ciężko dotknięci, a jednak w najsmutniejszych chwilach nie upadałszy na duchu. Ustąpić z widowni, znaczyć skazać się na zapomnienie, a w polityce być zapomnianym, to śmierć. Trzeba ciągle się przypominać.“ Mnie się zdaje, że złote wypowiedział słowa nasz szlachetny przyjaciel i że koniecznie z dzielnie polskich pod rządem pruskim na każdy kongres katolicki powinna wybierać się choć skromna liczba świeckich i duchownych. Znajdzie się zawsze okazy, by z taktem należytem wspomnieć o naszych potrzebach, o naszym smutnem położeniu, a co ważniejsza, pozostaniemy w związku żywym z tą częścią narodu niemieckiego, wśród

której jednej znaleźć możemy posłuchu dla naszych krzywd i boleści.

*

*

*

Pozostałem jeszcze dwa dni w Trewirze, aby pożegnać dawnych i nowych znajomych i obejrzeć miasto. Po kongresie wydawało mi się dosyć pustem, a główne ulice nie przedstawiały ciekawego. Domy po większej części nowe, banalne, bez charakteru, jak gdyby miasto nie miało żadnych tradycyj. A jednak stoi na rynku słynne *Rothes Haus* i kilka innych, z których można było odtworzyć architekturę XVI wieku. Gdy jednak w uliczki odleglejsze się zapuszczasz, spotykasz tu i owdzie stare kamienice, na wpół opuszczone, z wysokimi dachami, z niewielką liczbą okien, w kamiennych ramach, z bramami o renesansowych lukach. Nagle zatrzymujesz się i dziwisz, tam kawałek gzymsu rzymskiego wmurowany w ścianę; idziesz dalej, a tu nowożytny szpichlerz opiera się poufale o część rzymskiej wieżycy, aż nareszcie na wschodnim krańcu miasta, tak mnożą się resztki rzymskich murów i towarzyszące im pustki, że już wątpić nie możesz o miejscu, gdzie stała bogata *Augusta Treverorum*. Przechodzisz dziedziniec koszar, także pusty, bo żołnierze na manewrach, i wierzyć oczom nie chcesz. To Palatyn oczywisty, dawny znajomy, nie taki rozległy, jak rzymski, ale jeszcze imponujący. Nie możesz dosyć napatrzeć się tym rozdartym murem, tym wielkim smutnym oknom na pierwszym piętrze, przez które, jak w Rzymie, niebo rzewnie przeziara, tylko daleko bledsze. A gdy staniesz wśród wielkiej sali o trzech absydach, których resztki sklepień jeszcze sterczą dumnie, jak przystało na gmach imperatorski, choć od trzystu lat ludzie nowożytni robili co mogli, aby je zniszczyć, to myślisz, że to sala jaka z termów Karakalli; gdy nareszcie wąskimi, krętymi schodkami wchodzisz na szczyt ruiny i patrzysz na ogród, zasłany resztkami murów, kapitelów i kolumn, iluzja jest kompletna. To Palatyn, tylko mniejszy i roboty grubszej. Murowanie przypomina czasy Dioklecjana, a w niektórych częściach jeszcze późniejsze. Cały wiek jeden rzymskiej historii zmartwychwstaje przed

twoim wzrokiem. Tutaj mieszkali Konstancyusz i syn jego Konstanty W., i Julian Odstępca, i dzielny Walentynian. Tutaj Gracyan, najszlachetniejszy z cesarzy, długie miewał rozmowy z św. Ambrożym, którego czeił jak drugiego ojca; tutaj przez kilka lat okrutny Maksym dźwigał samozwańczą purpurę, a tak ciągną się dalej wspomnienia tych murów. Dopiero za Teodozyusza, razem z miastem, zaczynają upadać.

Gdyby kto chciał odtworzyć sobie całą świetność stolicy imperatorów nad Mozellą, powinien udać się do amfiteatru, do połowy wykutego w skale, i tam obejrzeć arenę, gdzie przed oczami Konstantyna ginęły tysiące jeńców niemieckich pod kłami dzikich zwierząt; powinien ztamtąd udać się do termów nad Mozellą, których rozległe suteryny i parter nieźle zachowane; podziwiać następnie bramę północną, słynną *porta nigra*, która dotąd stoi cała, z swemi wieżami i arkadami; wstąpić do bazyliki, gdzie niegdyś głosił wyroki sądowe ojciec św. Ambrożego, a dzisiaj luterskie odprawia się nabożeństwo; nareszcie długie godziny przepędzić w muzeum, i z pamiątek i resztek tam nagromadzonych ułożyć napowrót dawną cywilizację, wywołać z przeszłości postacie Rzymian trzeciego i czwartego stulecia, jak najpełniają życiem energicznym, namiętne forum i ulice, jak cisną się do bazylik i świątyń, jak spieszą do palatium, do amfiteatru, do termów lub w willach rozkosznych nad Mozellą trawia dni zimowe na ucztach i czytaniu poetów. Nie będzie to obraz urojony, lecz dotykalna rzeczywistość, której części składowe istnieją wszystkie na miejscu. To też po za Włochami nigdzie tak gruntownie, jak w Trewirze, nie można poznać przeszłości rzymskiej, a nawet kto zna Włochy, znajdzie tutaj mnóstwo rzeczy niezwykłych. Ta *porta nigra* jest doprawdy jedynym rodzaju swego pomnikiem, a w muzeum mnóstwo zabytków, których gdzieindziej znaleźć nie można. Jest mozaikowa posadzka z czwartego wieku, na której muzy wyobrażone i popiersia różnych poetów i filozofów: Hezyoda, Enniusza, Cyserona, Wirgila, Menandra, a pomiędzy niemi wizerunki symboliczne pór roku i miesiący. Wysokie daje pojęcie o kulturze trewirskiej ta obszerna, starannie wykończona kompozycja, i godzi się wątpić, czy w czwartym wieku,

gdziekolwiek w rzymskim imperyum, umiano zrobić coś lepszego.

Ale spostrzegam, że z okazji zjazdu gotowym napisać rozprawę archeologiczną. Doprawdy, nie żałowałbym trudu, gdybym wiedział, że co rok choć kilku światłych rodaków pojedzie oglądać to wyjątkowe miasto. A znaleźliby tam więcej, niż same wspomnienia Cezarów i legionów, bo mieliby przed sobą pierwsze wieki chrześcijaństwa, jak żyły i cierpiały w nadziei i miłości. Każda chwila, radosna czy smutna, każdy wypadek, domowy czy publiczny, upamiętniony napisem, rzeźbą, naczyniem, klejnotem. Wśród sarkofagów jeden, nawet w rzymskich muzeach uchodziłby za osobliwość, bo wyrzeźbiona na nim arka Noego z całą rodziną patriarchy i mnóstwem zwierząt. Można w Rzymie często widzieć tę scenę, rzeźbioną lub malowaną, ale tylko sam Noe przedstawiony, wyciągający ręce do wracającego gołębia. Trewirska rzeźba cennym unikatem. W gobletkach mnóstwo monet, gem, kameów, pierścieni bogatych, ale najwymowniejsza z nich złota obrączka, na której wyryte dwa słowa: *Fidem Constantino*. Może zdobiła palec centuryona, który siedł z cesarzem zatykać krzyż na Kapitolu. W szafach przepyszne naczynia szklane wszelkich kolorów i kształtów, rznęte i rzeźbione, a wśród nich jedno, niesłychanie trudnej roboty, jedno z tak zwanych *diatretów*, okryte rybami, dziedzictwo rodziny znakomitej chrześcijańskiej. Na czarze szklanej wyryta ofiara Izaaka, na lampkach te same, co w Rzymie, symbole chrześcijańskie. Napisów chrześcijańskich takie mnóstwo, że tylko Lateran bogatszy zbiór posiada. A nie zdziwisz się tej obfitości, gdy się dowiesz, że aż trzy wielkie cmentarze istniały za miastem w pierwszych wiekach. Niektóre tchną katakumbową prostotą: *Eutychian wierny w pokoju*. Lub ta druga: *Tutaj spoczywa w pokoju Martyna, najśłodsza dziewczica, która żyła lat szesnaście i miesiąc jeden. Rodzice położyli napis*. A czuły szatny cesarski tak wspomina żonę: *Spoczywa tutaj Maura, małżonka Bonifacego, cesarskiego szatnego (a veste sacra), którą poprzedziła nas w pokoju, a żyła z nami lat dwadzieścia*. Przy tych napisach, dobrze znane nam z katakumb monogramy Chrystusowe, gołąbki, gałązki oliwne itp. A słabe to resztki

tego, co niegdyś było w tem mieście. Jeszcze w XV stuleciu Konrad Celtas widział po ulicach i ogrodach sarkofagi z greckimi napisami, i posągi bogów, i pełno innych pamiątek, które dzisiaj bezpowrotnie przepadły. Jeden tylko ocalał epitaf grecki i to barbarzyńca Azizosa, z dalekiej Syrii, znaleziony pod kościołem św. Macieja. A ten kościół pyszny, ćwierć mili za miastem, wznoszący się nad willą pobożnej matrony Albany i nad najstarszym cmentarzem, gdzie spoczywały zwłoki św. Eucharego, ucznia Piotrowego, i drugi kościół św. Maksymina, i trzeci św. Paulina, wszystkie za miastem, świadczą tak wymownie i rzewnie o męczeńskiej epoce chrześcijaństwa, jak katedra wysławia jego tryumf i panowanie. Zaiste, jeżeli któremu miastu, to prastaremu Trewirowi przysługuje chlubna nazwa *drugiego Rzymu*.



